

# Seweryna Wysłouch

---

## Jerzy

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (11), 155-158

---

1991

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Pozegnania

## Jerzy

Duże zdjęcie w żałobnej gablocie, czarny pasek na drzwiach znaczą, że gdy zapukam w drzwi gabinetu, nie odezwie się dźwięczne „t a a k”, Jerzy nie zerwie się z fotela, nie powie *sadities'*... Przyciągał do siebie ludzi i mały pokój w Collegium Novum potrafił zamienić w salon: miejsce cotygodniowych spotkań towarzyskich. Programowo lekcewał formy, które mu się z wieku i urzędu należały, ze wszystkimi był na „ty”. Burzył feudalną hierarchię uniwersytecką jak mógł i umiał, co nie zawsze było mile widziane. Ale Jego autorytet nie wspierał się na zewnętrznych, konwencjonalnych gestach, i On dobrze o tym wiedział.

Miał poczucie humoru, lubił żarty. Gumowy młotek „do wybijania z głowy głupich pomysłów” leżał na biurku i często bywał wprawiany w ruch, a rozliczne *bons mots* powtarzane były jak najprzedniejsze dowcipy. Pamiętam, jak w roku 1980 baliśmy się radzieckiej interwencji i stale Jerzego pytano, co będzie, a On chytrze się uśmiechając mówił z ruskim akcentem, że zawsze pragnął zobaczyć Bajkała. A kiedy kartki były na wszystko i kwitł handel wymienny (wymienialiśmy wódkę na kawę, kawę na cukier, cukier na masło), Wiesia nieopatrznie powiedziała, że zamieniła wódkę na mydło. Jerzy złapał się za głowę: „O, durnowata! coś ty najlepszego zrobiła! Przecież wódką możesz się umyć, ale mydłem się nie napijesz!”. Dworował zresztą nie tylko z innych, z siebie także. Gdy dyrektor Witkowski ozdobił tabliczki Zakładu Historii Literatury czerwonym paskiem, a Teorii — zielonym, Jerzy z uśmiechem mówił, że nie rozumie, dlaczego ma pasek zielony, kiedy całe życie był czerwony... W Jego gabinecie stał księgozbiór teoretycznoliteracki i podstawowe

bibliografie, z których wolno było korzystać, ale biada, jeśli z pokoju wywędrował jakiś tom. Jerzy miał szpacze oko, natychmiast dostrzegał lukę na półce i zarządzał prywatne śledztwo, aż książka z powrotem znalazła się na swoim miejscu.

Nie należał do profesorów, którzy wyciszają drzwi i instalują podwójne zamki. Jego gabinet stał przed nami otworem także pod Jego nieobecność. Przyznany *ad personam*, w gruncie rzeczy służył całemu Zakładowi, bo w razie tłoku w pokojach czy rozmaitych instytucyjnych kolizji właśnie tam odbywaliśmy konsultacje i egzaminy, szarogęsząc się nieprawdopodobnie. Czmyhaliśmy, gdy Jerzy miał gości, studentów, in-teressantów.

W gabinecie wisiał portret Marcina Lutra, bo Jerzy był antyklerykałem od zawsze, ale lubił wpisywać zawodowe czynności w kalendarz liturgiczny. Pisał „listy pasterskie”, by informować o zebraniach, a raz około Wielkanocy zarządzał „spowiedź generalną” z planów i zamierzeń naukowych. Umawiał się wtedy z każdym osobno, no i „spowiadał”. Pamiętam jedną taką spowiedź, podczas której referowałam pomysł pracy habilitacyjnej. Spodobało Mu się. Sięgnął do biurka, wyjął dwa metalowe kieliszki i pod biurkiem nalał. Łyknęłam i powiedziałam: „dobre”, a zaraz potem spytałam: „co to jest?” — „Żytnia” — odparł. Od tego się zaczął mój upadek. W kąt poszły słodkie wina i likiery, a Jerzy śmiał się i gadał na prawo i lewo, że Seweryna jest uzależniona. A o kielichu w gabinecie nie wolno mi było mówić, chociaż to było jeszcze przed antyalkoholowymi zarządzeniami premiera Jaroszewicza... Taki właśnie był. Cieszył się, gdy komuś się coś udało. Na konsultacjach sypał pomysłami jak z rękawa i trzeba było tylko złapać trop i iść nim dalej. Ale jednocześnie zostawiał całkowitą swobodę. Nie naginał do swych pomysłów, pozwalał szukać własnej drogi. Dlatego w Jego zespole rozwinęły się tak różne osobowości jak Edward, Staszek, Janka.

A jak wyglądały zebrania Zakładu Teorii Literatury? Przed wszystkim odbywały się nieregularnie, dyktowane potrzebą chwili i — serca. Zawsze miały charakter spotkań towarzyskich: mieliśmy zakładowy opłatek z tradycyjną gałązką świerku i przymocowaną nad drzwiami jemiolą, Mikołaja czy podkoziółek. Jerzy lubił dowcipy i towarzyskie zakłady. Toteż „obstawialiśmy” płęć mających urodzić się dzieci naszych koleżanek, a z zebranego funduszu kupowano niemowlętom zabawki. Rok temu Królewska Akademia Szwedzka zwróciła się do Jerzego o wskazanie kandydata do literackiej Nagrody Nobla. Zobowiązany do tajemnicy, zaproponował na zebraniu, żeby każdy napisał na kartce swojego kandydata, a po ogłoszeniu werdyktu zobaczymy, kto wygra. Kiedy to mówił, krzyknęłam: „Günter Grass!”. Zareagował spontanicznie, pytając „skąd wiesz?”. Tym się zdradził. Zabawa się nie udała, a Jego kandydat

przegrał z mało znanym Hiszpanem. Ale wierzę głęboko, że jeszcze kiedyś Nobla dostanie.

Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że zebrania były imprezą wyłącznie towarzyską. Często miały charakter „prób generalnej” przed wystąpieniem na zewnątrz. Dyskutanci nie bawili się w kurtuazję, toteż referent poddawany był próbie ognia i wody. Ale wiedział dobrze, że nawet najbardziej krytyczna dyskusja „zrobi” mu tekst, podsunie nowe rozwiązania. Dyskutowano demokratycznie i żywiłowo. Nie do pomyslenia było, żeby o kolejności głosów decydowała uniwersytecka hierarchia. Kiedy ludzie zaczynali się przekrzykiwać i robił się hałas, Jerzy dzwonił góralskim dzwoneczkiem i przywoływał wszystkich do porządku. Sam zabierał głos na prawach dyskutanta, niczego nie nakazywał i nie zakazywał.

Zdarzało się, że na naszych zebraniach występowali ludzie spoza uczelni, doktoranci Jerzego czy Edwarda. Wychodzili przerażeni atakami, nie rozumieli, że taka jest uroda zebrań i styl pracy Zakładu. Że tu się krytykuje, a nie chwali. Chwalić to będą później recenzenci. I, co tu dużo gadać, rzeczywiście chwalili. I to jak!

Obok „prób generalnych” Jerzy zainicjował serię zebrań pod hasłem „reżyser ma pomysły”, na których referowano konspekty prac doktorskich i habilitacyjnych, a więc w gruncie rzeczy — projekty przyszłych książek, które dzięki temu prędzej się realizowały. W Zakładzie Jerzego praca zespołowa nie polegała na opracowywaniu jednego tematu, jego kolejnych punktów i podpunktów, ale na wymianie poglądów, dyskusji i żywej reakcji środowiska. Dlatego nikt nie czuł się w tym, co robi, samotny i opuszczony.

Jerzy miał swoje literackie sympatie i antypatie. Nie lubił Miłósza i chętnie przypinał mu łatki. Cenił natomiast bohatera swej monografii — Kazimierza Brandysa. I właśnie z Brandysem wiąże się moja referatowa przygoda. Czytałam kiedyś tekst o nim, a kiedy skończyłam czytać, zebrani zrobili mi kawał: zaczęli stukać w stół. „Opukali” referat zwyczajem średniowiecznych żaków, wyrażając w ten sposób aprobatę. Zaskoczenie moje było zupełne. Pochłonięta czytaniem nie zauważyłam, jak Jerzy namawiał ludzi do żartu, wybacząc mi wspaniałomyślnie polemiczne akcenty.

Traktował swój zespół po partnersku. Sam przed występami na sesjach ogólnopolskich zarządzał „próbę generalną” i czytał swe teksty ciesząc się, gdy dyskusja była żywa. Wszystkie uwagi skrętnie notował i mówił, że dzięki nim może precyzyjniej wyrazić swoje myśli. Dyskusje nad Jego tekstami nie były wcale dworskie. Można było się z nim spierać, polemizować, nie zgadzać. W drobiazgach i w generaliach. Były problemy, które wracały na zebraniach wielokrotnie i zawsze wywoływały

gorące reakcje. Z takiej właśnie atmosfery wyrosły nasze *Miejsca wspólne*, które „uczniowie i uczniowie uczniów” zadedykowali Jerzemu w sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Kiedy pracowaliśmy nad tomem, jeden z kolegów–polonistów zapytał, o czym piszę. Odrzekłam, że będę polemizować z Jerzym w sprawie metafory. „A czy to ładnie?” — spytał. Zdumiałam się. Komplementowanie i dworska kurtuazja nie pasowały do Jerzego. Do Niego pasował ferment intelektualny, polemika, spór. A że umysł miał żywy i wielostronny — wskazywał różne ścieżki. Całe bogactwo Jego inspiracji, zaświadczonych i nie zaświadczonych odpowiednim przypisem, pokazują *Miejsca wspólne*. Wszystko zaczynało się od Jerzego — od Jego prac, pomysłów, dyskusji, które inicjował, tematów, które podsuwał. Był uczonym, który nie tylko pisał w ciszy swojego gabinetu, ale który wokół siebie gromadził ludzi i potrafił stworzyć między nimi silną więź zawodową. I jakkolwiek potoczą się losy Jego zespołu, jedno jest pewne: NON OMNIS MORIETUR.

Seweryna Wysłouch